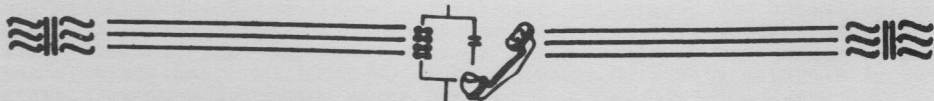




PRZEGLĄD ŁĄCZNOŚCI

DODATEK LITERACKI Nr 2 (ROK 2)



Dariusz Tarnowski	- Opowiadania Wigilijne	
	- Skrzypce	Str. 1
	- Kryształ	" 4
	- Złamany Szyfr	" 6
Tadeusz Lisicki	- Seszele	" 10
Andrzej Grabia	- Grób Joanny Figuroa	" 15
Marian Zawilo	- Wigilia Bożego Narodzenia na Łotwie	" 19
M. Goździkowski	- Córce	" 20

WYDAWNICTWO LITERACKIE ZWIĄZKU ŁĄCZNOŚCIOWCÓW
ZARZĄD: 24, Ranelagh Road, London W5 5RJ England

Nakład 600 + 30 egz. Londyn, maj 1982 r.
Na prawach rękopisu, tylko dla członków Związku.

Dariusz Tarnowski

Opowiadanie wigilijne

"SKRZYPCE"

Pod koniec grudnia 1939 roku po wielu przygodach znalazłem się jako "cywilny" uchodźca w miejscowości Barcs nad rzeką Drawą, która na dużym odcinku stanowiła granicę Węgier z Jugosławią. Byłem w drodze do Francji, gdzie po klęsce wrześniowej odradzało się polskie wojsko. Wezwanie otrzymałem w obozie internowanych Hidasnemeti, skąd uciekliśmy w kilku, już w ubraniach cywilnych do Budapesztu. Dalejsza droga miała się odbyć pociągiem przez Włochy do Francji. Z pewnych powodów droga ta w tym czasie została zamknięta i... zaproponowano nam przejście przez zieloną granicę do Jugosławii, do Splitu, skąd zakontraktowany statek miał nas zabrać do Marsylii.

Granice mieliśmy przekroczyć nielegalnie w okolicy Barcsu przy pomocy organizacji Maczka, której placówka pod kierownictwem rotmistrza Dowbora mieściła się w hotelu "Korona".

Uchodźcy byli zakwaterowani po prywatnych domach, a kwatery i wyżywienie opłacał rząd węgierski. Otrzymywali nadto 50 filerów jako kieszonkowe. Przybywający wojskowi, po zarejestrowaniu się u Dowbora, byli kierowani na kwatery opuszczone przez przerzuconych już przez granicę i przyjmowali ich nazwiska, aby nie robić zamieszkania w administracji węgierskiej. Dla utrzymania dyscypliny organizacyjnej musieliśmy oddać Dowborowi nasze paszporty zagraniczne otrzymane w Budapeszcie z wizami francuskimi. Dowbor wydawał je podczas odprawy wraz z pieniędzmi jugosłowiańskimi (100 dinarów, około złotego) na koszty dotarcia do Zagrzebia, w dniu przeprawy przez Drawę.

* * *

Wieczór wigilijny wydawał się idealnym czasem do przekroczenia granicy, a to głównie ze względów, powiedzielibym, religijnych. Polacy przypuszczali, że czujność strażników węgierskich-żandarmów, tak zwanych przez nas "kogutów" (ze względu na upierzenie służbowych kapeluszy), będzie znacznie osłabiona, a Węgrzy uważali, że Polacy w tym szczególnym dniu nie będą chcieli wplątywać się w jakiegokolwiek awantury granicznej. W "Koronie" jednak zapadła decyzja przerzucenia do Jugosławii tego wieczoru większej, niż zwykle grupy około 30 różnych wybranych specjalistów, oficerów i szeregowych.

Na odprawie porannej otrzymaliśmy paszporty, dinary i instrukcje. Za Drawą mieliśmy ruszyć na południe, kierując się w braku map i kompasów na gwiazdozbiór Oriona, ominąć większą miejscowość Vierovitica, po jej zachodniej stronie (w Vieroviticy - Gestapo) i po północy dojść do Kuprownicy, stąd pociągiem do Zagrzebia. Następnie podano miejsce i godzinę zbiórki dla "piątek", na które podzieliłiśmy się. Wyprawę prowadził "Goebels" (kryptonim podchorążego z placówki). Zachować ścisłą tajemnicę wobec nie biorących udziału w wyprawie, postępować normalnie, wyjść z kwater na miejsce spotkania "piątki" pojedynczo, bez jakiegokolwiek bagażu i bez zwracania na siebie uwagi. Przeprowadzić mieli nas Jugosłowianie. O miejscu przeprawy miał wiedzieć tylko "Goebels". Nie wiedzieliśmy wtedy, że na terenie Barcsu działało również prywatne przedsiębiorstwo przeprawowe niejakiego pana N, który jednak słono sobie liczył "od łebka" i nie znosił konkurencji do tego stopnia, że donosił żandarmerii o każdej znanej mu próbie przekroczenia granicy, z której nie miał zysku.

Nie wiadziliśmy również dlaczego nie udało się świetnie przygotowana ostatnio próba przejazdu pociągiem towarowym, kiedy to opłacony maszynista bardzo swolnią bieg pociągu przed mostem, a my schowani w naroślach wyskoczyliśmy, aby wdrapać się na wagony, gdy raptem natknęliśmy się na wyskakujących z wagonów "kogutów", którym udało się schwytać kilka osób. Musiał je potem Dowbór wykupywać z aresztu tracąc gotówkę.

W skład naszej "piątki" wchodziło nas czterech, piąty Biel zaziębił się i poszedł do łóżka. Tadek, Gryca, Tarkowki i ja, wszyscy z wyjątkiem Grycy-piechociarza, z łączności. Zebraliśmy między sobą trochę "pengów", które wręczyłem Arance (Tadka i mojej gospodyni), aby przygotowała nam wilię, której nie spodziewaliśmy się, że będziemy jeść. Miała być głównie smażona ryba, kluski z makiem i wino.

* * *

Gdy ziemiała a mróz brał coraz większy, pojedynczo wyruszyliśmy wprawie na punkt zborny naszej "piątki".

Snieg skrzypiał pod nogami, gdy w odstępach księżycowej widoczności przemysłaliśmy szerokim białym polem, aby dostać się na skraj za - drzewienia, pod osłoną którego mieliśmy dojść do miejsca spotkania **innych**. W zimowej ciszy spotkaliśmy się z przewodnikiem i innymi uciekinierami, którzy zjawiali się jak cienie. Przewodnik po przeliczeniu nas poprowadził na miejsce wyczekiwania opodal rzeki. Była to płytka kotlina na prosia krzakami jałowca, w której rozproszeni, w poświęacie księżycy, sami, czarne bezkształtne plamy, wyglądaliśmy jak krzaki. Przewodnik zostawił nas z krótką instrukcją: "Czekać i ...ani pary z gęby!". Sam poszedł nawiązać kontakt z przewodnikami. W mroźnej ciszy wsłuchiwaliśmy się w dochodzące do nas odgłosy. Wybuchający nagle krzyk dzikich gęsi w różnych odległościach, trzask scierającej się, czy łamiącej na rzece kry, wreszcie jakby charakterystyczny klekot wioseł o burzę łodzi, jakieś zciszone rozmowy. Napięcie oczekiwania rosło wraz z zwiększającym się mrozem. Marzliśmy, a tu mowy nie było, aby móc się w jakiś sposób zagrzać. Przewodnika ciągle nie było. Natomiast z innej strony doszedł do nas znany szcęk metalu, nasadzanych na broń bagnętów... To strażnicy węgierscy! Obława? Zdrada?... Wszelki szept między nami zamarł. Szelest gałęzi... liści... Kroki - przesunęły się skrajem kotliny. W naszej "piątce" poza drobnymi zawiniątkami, tylko Tarkowski trzymał pod pachą pudło ze skrzypcami, bez których, jak mawiał, nie mógł żyć. Te skrzypce, to cała inna fascynująca historia. Ale właśnie i teraz, kiedy znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, poszukiwani przez żandarmów i zachowanie największej ciszy było konieczne, znieczulone zimnem ramiona Tarkowskiego zwolniły uchwyt i pudło padło! na zmarzniętą ziemię, a skrzypce jęęęęły wszystkimi strunami. Był to bardzo niezwykły dźwięk, zważywszy okoliczności, ale nie do tego stopnia, aby wywołać taką reakcję jaka nastąpiła. Kilku bardziej nerwowych, myśląc pewnie, że wszystko już przepadło prócz zemsty na właścicielu skrzypiec, rzuciło się na Tarkowskiego, aby go zadusić, zabić... Skrzypce wyrwałem spod tratujących wszystko nóg, a Tadek i Gryca własną pierśią zasłaniając Tarkowskiego przed rozczapirzonymi lub zaciśniętymi w pięści rękami. Zrobił się szum i rwetes, jakby silny wiatr zakręcił w kotlinie. Równocześnie na zewnątrz usłyszeliśmy wystrzał, gwizdki, nawoływające się głosy i krzyk coś wołający, oraz... stukot odbijającej łodzi. Akcja w kotlinie zamarła... zmieniliśmy się znów w krzaki jałowca. Za chwilę zobaczyliśmy sylwetkę naszego przewodnika, który zduszonym głosem wyksztusił: "Pojedynczo, dęba...!" Wyprawa była spalona. Pewnie znów ten pan N, nas wswołał. Narazie ucierpiał tylko pobity przez Węg-

rów przy ucieczce "Goebels". A nas czekał tylko jeszcze szczęśliwy powrót na kwatery. Ani się obejrzałem, jak wszyscy zniknęli, została tylko nasza "piątka". Kierownictwo powrotu objął Tadek mający niezwykle poczucie orientacji. Ruszyliśmy gęsiego za nim w kierunku od rzeki, od której słychać było jeszcze głosy i krzyk dzikich gęsi. Powrót nastąpił według metody Tadka, najkrótszą i najsmielszą drogą, bo przez zabudowania i obejście koszarowe żandarmerii. Za oświetlonymi oknami wolni od służby strażnicy siedzieli w ciepłe przy wieczery. Nikt nie zwracał uwagi na przemykające się cienie, nawet psy nie zaszczekały, gdy zziębnięta nasza grupka przemyciała na przedmieście Barcsu. Po złożeniu o zajściu meldunku w "Koronie", oraz po wyrażeniu swej opinii na temat organizacji, a także po próbie obrony zarzutów w związku ze skrzypcami Tarkowskiego, które jakoby przynoszą nieszczęście. Ruszyliśmy na kwatery do Aranki na spódnioną wilię.

* * *

W pokoju było widno, ciepło i przytulnie. Aranka przygotowała choinkę i opłatek. Ponieważ Tarkowski w dowód wdzięczności za uratowanie skrzypiec obiecał po wieczery dać koncert, po przełamaniu się opłatkami i wzajemnych życzeniach szybkiego powrotu do Kraju, rzuciliśmy się do pochłonięcia klusek z makiem i smażonej ryby, suto podlewając winem. Z przyjemnością i podziwem patrzyłem na **znikające** z półmisek dzwonka ryby, z których pozostawały tylko regularne białe szkielety ości. Poszedłem do kuchni by pogratulować Arance taakiej ryby, a ona się rozpiakała i powiedziała, że już dla nas ryby dostać nie mogła, tylko kupiła wio-przowinę, którą przyrządziła z ośmiu jak rybę sądząc, że może nie zauważymy. Poczęstowałem ją winem, złożyłem życzenia świąteczne i zapewniłem ją, że nikt się o tym nie dowie.

Koncert Tarkowskiego był wirtuozowski w pełnym słowa tego znaczeniu. My piliśmy kawę lub wino, a Tarkowski postawił na kominku małą fotografię swej żony, przez chwilę stroił skrzypce i wykonywał świczenia palców, aż po kilku pasażach zapadł w coś w rodzaju transu i zaczął grać. Grą swą wyrażał nasze najgłębsze ówczesne uczucia, gdy w artystycznej kompilacji z wariacjami słyszeliśmy przenikające się melodie chorału Święty Boże z jednym z tańców węgierskich Brahmsa.

Następną wyprawę przez rzekę planowaliśmy jednak bez skrzypiec.



Skrzypce "jęęęęły" wszystkimi strunami!"

"KRYSZTAŁY" 1)

Warszawa. Koniec roku 1943-go.

Radiostacja Komendy Głównej A.K. o kryptonimie "Wanda 21" dziś wieczorem miała "grać" z meliny w Wawrzyszewie. Dziś również miała się odbyć próba nawiązania łączności na nowych elementach ruchu... inne sygnały, inne częstotliwości... Te ostatnie miały być sterowane amerykańskimi kwarcami o powielanej częstotliwości... ostatnio dostarczone w zrzutach lotniczych z Londynu. W przypadku uzyskania dobrej łączności, przewidywano nadanie pilnych telegramów do Londynu i odbiór korespondencji z Anglii.

1) W książce "Dziękuję Wam Rodacy" ppik mgr inż. J. Srebrzyński tak pisze o kryształach: - "Dokładność nastawienia nadajnika i selektywność, czyli łatwość i dokładność wyeliminowania sygnału w odbiorniku były warunkiem koniecznym szybkiego nawiązania korespondencji. Dlatego nadajniki zostały zaopatrzone w płytki kwarcowe czyli elementy ustalające dokładnie promieniowaną częstotliwość. Zastosowanie kwarcu polepszało ponadto własności akustyczne odbieranego sygnału".

Kryształy, o których będzie mowa, to płytki kwarcowe, czy turmalinowe, doszlifowane do określonej częstotliwości, oprawione w plastik lub metal i zakończone wtyczkami. Mają szczególnie ważne zastosowanie w aparatach radiokomunikacyjnych do utrzymania stałej częstotliwości. Wartość ta była nieoceniona w łączności radiowej konspiracyjnej z Londynem.

Słabe radiostacje A.K. pracowały na wysokich specjalnie dobieranych okresowo częstotliwościach, systemem fali odbitej od jonosfery. Słabość odbieranego sygnału tylko częściowo wyrównywały doskonałe odbiorniki Batalionu Łączności Szt. N.W. w Anglii. Wahania częstotliwości nadajnika bez kryształu przy olbrzymim nasyceniu eteru pracą innych radiostacji, mogły zerwać łączność lub ją całkowicie uniemożliwić.

W Polsce pod okupacją niemiecką nie sposób było uzyskać potrzebnej ilości żądanych kryształów, były zbyt pilnie przez Niemców strzeżone. Przy okresowej zmianie częstotliwości, kryształ były dostarczane w zrzutach lotniczych. Ilość ich była jednak ograniczona i jakakolwiek ich strata mogła znacznie utrudnić łączność.

Szczególnie ważne to było, gdy plan Powstania powszechnego już się konkretyzował i przystąpiono do prób korespondencji na nowych elementach ruchu i częstotliwościach sterowanych kwarcami.

Na spotkanie naznaczone na godzinę 18.00 mieli przybyć jak zwykle: łączniczka z "pipszokiem" (konspiracyjny aparat nadawczo-odbiorczy), "grajek" - operator-radiotelegrafista, łączniczka z Biura Szyfrów i... dziś wyjątkowo oficer łączności z Komendy Głównej, Kierownik Centrali przekazywania "Koral" z nowymi kwarcami. Początek korespondencji godziną 19.00.

Oficer, którego kenkarta wystawiona była na nazwisko Jan Leśniak, elektryk z Baranowicz, zatrudniony był dzięki "cichej" protekcji A.K. w wielkim niemieckim kasynie gry na Szucha, gdzie nocami czuwał, aby kasynowa elektrownia większej mocy (mogłaby oświetlić małe miasteczko)

pracowała bez mankamentów, za które obsługa mogłaby ponieść karę śmierci.

"Dobra" Kenkarta i zezwolenie Gestapo na poruszanie się po godzinach policyjnych zabezpieczyły tylko w pewnym stopniu przed różnymi nie - spodziankami, które między innymi spotykały podróżujących warszawskimi tramwajami.

Właśnie Leśniak jechał "jedynką" na Powązki, skąd już niedaleko do Wawrzyszewa. Nagle... na Krakowskim Przedmieściu, ledwie tramwaj ruszył z przystanku przy pomniku Mickiewicza ktoś krzyknął: - "Łapanka!" Tramwaj przyspieszył ruch, jakby chciał uciec i... raptem z okropnym zgrzytem zahamował. Za późno... Nic tylko tłok uniemożliwił Leśniakowi wymknięcie się z tramwaju, aby uciec w pobliską ulicę Bednarską, gdzie mógłby przeczekać "łapankę" u rodziny. Ale, Krakowskie... było już zamknięte. Kordony Niemców, którzy wysypali się z ciężarówek na Koziej, z bronią gotową do strzału, zamknęły Trębacką, Miodową i Bednarską. Wrzaski "Raus, raus!! ... Hande hoch! ..." Krzyki bitych koltami... pędziły ludzi na złamanie karku z tramwajów, zmiatały z chodników, ustawiały z rękami wyciągniętymi nad głową, opartymi o mur domów, tyłem do ulicy...

Ulica została podzielona na odcinki kontrolne nieznacznie od siebie oddalone pod dowództwem podoficerów Wehrmachtu. Oficerowie Gestapo zgrupowali się na oddalonym odcinku. Systematyczni Niemcy rozstawili stoliki-kancelarie z wykazami, pieczętkami i.t.p. Zespół żołnierzy - rewidentów przystąpił do pracy... Co raz kogoś konwojent odprowadzał od stolika na Kozią do "budy".

Leśniak głuchł na wrzaski Niemców, płacz kobiet, odgłosy katowania... NIE chciał myśleć o kwarcach... Co będzie, jeśli znajda?... Wyrzucić!... Opuszczenie rąk groziło śmiercią... Opanował się w momencie, gdy rewident sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza Leśniaka i wyciągnął kwarcę... Na tych kwarcach szczęśliwie nie było ani nazwy firmy amerykańskiej, ani nazwy przedmiotu... był tylko jeden napis - numer częstotliwości.

- "Was is das? Co to jest?" - spytał.

- "To? To do elektryczności!" - odpowiedział głosem pełnym oczywiście Leśniak.

Niemiec obejrzał Kenkartę i zezwolenie Gestapo.

"Elektryk w kasynie gry" - pomyślał - "pewnie takie części tam do elektryczności używają?". Ale był nieufny. "Hans!" - krzyknął do kolegi - "Do czego to jest?" - podrzucił kwarcę do góry.

"Do elektryczności, nie wiesz? głupi!" - odpowiedział kolega, chcąc zapewne okazać zapytującemu lepszą znajomość rzeczy.

Kwarcę poszły do kieszeni Leśniaka.

Teraz konwojent odprowadził go do stolika.

Kenkarta... zezwolenie... w porządku! Odejść!

Leśniak wolno przeszedł ulicę, chociaż wewnątrz rwało... "jak sto koni". Minął tramwaj, kierując się na Bednarską... Wtem! - "Hande hoch!", karabin przy piersi... to krzyknął stojący tam wartownik.

Nie pomogło tłumaczenie, że wszystko sprawdzone, że pozwolono mu odejść... Gorliwy wartownik odprowadził Leśniaka do stolika, do koleжки, do sprawdzenia....

Tym razem po ponownym sprawdzeniu, ten sam wartownik odprowadził go do wylotu Bednarskiej.

Leśniak spokojnie zszedł w dół ulicy do numeru 23, potem już jedynym tchem wpadł na drugie piętro. Drzwi otworzyła bratowa... zobaczyła twarz spokojną, lecz bez krwi... "Zaraz zaparzę kawę...."

Punktualnie o wyznaczonej godzinie zostało odebrane wołanie z Londynu. Wymieniono korespondencję.

Kryształy spełniły swoje zadanie.

Leśniak spieszył się na nocną służbę w kasynie. W drodze pomacał kieszeń z kwaremami... Zdawało mu się, że kryształy świecą jego radością ze wspólnie wykonanego zadania.

Musiał wyjąć je, aby to sprawdzić...

W odbitym blasku jakiegos światła pozostały ciemne - zakonspirowane - w "coś do elektryczności".

"ZŁAMANY SZYFR" 1)

Opowiadanie to jest opracowane na podstawie audycji, która była nadana dnia 24 grudnia 1966 r. przez Radio Free Europa, pod tym samym tytułem, tego samego autora.

Tylko bardzo fragmentarycznie, choć bezpośrednio zetknąłem się z pracą radiowywiadowczą, kiedy w roku 1943 zostałem zaproszony na Wilię przez kolegów łącznościowców do Boxmoor, miejsca postoju kompanii radiowywiadowczej. Zadaniem tej kompanii było zbieranie materiałów o nieprzyjacielu drogą nasłuchu radiowego oraz namiarów radiogoniometrycznych radiostacji niemieckich, ich identyfikacja, oraz odszyfrowanie przekazywanych wiadomości.

- 1) Jest to opowiadanie naocznego świadka z dziedziny pracy radiowywiadowczej, prowadzonej przez Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie podczas ostatniej wojny. "rzebieg tej pracy był ciągle jeszcze pod pieczęciami tajemnicy służbowej, której samym uczestnikom w zasadzie uchylić jeszcze nie było wolno. Przypadkowy świadek, nie był związany z tym rodzajem pracy i ograniczeniami, opowiada więc, tak jak wówczas widział, interesujący fragment tej pracy, dotyczący wykrycia, czyli jak się to mówi fachową gwarą "złamania" pewnego szyfru niemieckiego. Niech wspomnie: nie to będzie skromnym wyrazem uznania dla bezimiennego wówczas, lecz jakże doniosłej pracy wojennej, niewielkiej grupy specjalistów, objętych ogólną nazwą kryptologów. Dla wprowadzenia w tok opowiadania warto może przypomnieć, zapewne ogólnie znane wiadomości z dziedziny wywiadu wojskowego. Przedmiotem jego pracy podczas wojny jest zdobywanie wiadomości o nieprzyjacielu. Wiadomości te dotyczące na przykład składu i rozmieszczenia jego sił, a nade wszystko jego planów i zamiarów, oraz wszelkie inne, są nieocenione dla podjęcia właściwych własnych decyzji. Jednym ze źródeł tych informacji jest radiowywiad, a to ze względu na duże upowszechnienie się radia jako środka łączności. Nieprzyjaciel chcąc zachować tajność porozumiewania się, stosuje wymyślne systemy utajania, z których najpopularniejszym jest szyfrowanie wiadomości, to jest zastępowanie liter cyframi lub innymi literami według tajnego klucza. Praca wywiadu w tej dziedzinie - to szczególna walka ludzkich mózgów. Rzadko kiedy dowiadujemy się o prawdziwych drogach prowadzących do osiągnięcia sukcesów w tej walce, bo zwykle są długie i żmudne, są również bacznie strzeżone, pochłaniają ponadto wiele nakładu pracy bezimiennych pracowników -

żołnierzy. Natomiast wyniki tej pracy ujawniają się często na polu walki w zwycięstwach, które są chwałą wojsk walczących. Jak doszło do uzyskania jednego z takich wyników w dość niezwykłych okolicznościach jest treścią niniejszego opowiadania. Przygotowując to opowiadanie do druku zdałem sobie sprawę, że wszyscy główni uczestnicy opowiadania już nie żyją, że wśród nich byli ci, którzy przedtem rozwiązyali niemiecki szyfr maszynowy "Enigmę" o czym nie można było się nawet domyśleć, ich wojenne losy są przedmiotem opisów w wielu publikacjach, opowiadanie jest mniej znanym fragmentem ich pracy, która jeszcze czeka swego historyka.

Było to coś w rodzaju "operacji połączonych" łączności, bo obsługę radiową stanowiła śmietanka radiotelegrafistów wszystkich rodzajów Polskich Sił Zbrojnych: wojska, marynarki wojennej i lotnictwa, oraz inny personel, jak ochotniczek łączności, radiotelegrafistki tych rodzajów broni, dezilitaryzowane juzistki, które pracowały jako radiotelegrafistki, deszyfrantki i maszynistki w obsłudze dalekopisów. Kompania była organem wykonawczym Oddziału Wywiadowczego Sztabu Naczelnego Wodza. Oddział ten stawał zadania do wykonania przez kompanię i jej pracę koordynował. Kompania wchodziła w skład największej polskiej jednostki łączności, Batalionu Łączności Sztabu Naczelnego Wodza.

Sekcję kryptologiczną, której zadaniem było "łamanie" szyfrów nieznanymi stanowili zespół świetnych fachowców, głównie młodych oficerów: matematyków i lingwistów z wyższym wykształceniem, pod kierownictwem kapitana*), doktora filozofii-filologa, znawcy sanskrytu, języka starożytności i kilku innych również nowoczesnych języków, "wielkiego maga", w tej pracy wtajemniczonych.

Materiałem "wyrobowym" dla pracy mózgow tej sekcji były wyniki nasłuchu i namiaru radiowego oraz dodatkowe wiadomości z wywiadu innymi środkami. Przechwycone szyfrogramy, odpowiednio posegregowane wypełniały szereg żelaznych szaf na jednej z sal. Tu muszę dodać, że złamanie nowoczesnego szyfru wymaga w zasadzie posiadania co najmniej kilku długich telegramów, lub większej ilości krótkich, zaszyfrowanych przy użyciu tego samego klucza, lub systemu. W praktyce sekcji bywały jednak wyjątki. Słyszałem o jednym, który naszym kryptologom udało się z mniejszej ilości przechwyconych telegramów, odszyfrowanie wiadomości w 1940 roku, o dacie i miejscu pobytu marszałka Goeringa w północnej Francji, tuż po jej zajęciu przez Niemców. Niestety, wiadomość ta przekazana sojusznikom, nie została wykorzystana, bo nie spowodowała zombardowania pociągu, co w pewnym sensie mogło wpłynąć na dalsze losy wojny.

Tego wieczoru wigilijnego widziałem nie tylko te szafy wypełnione materiałem z nasłuchu, lecz również arkusze analizy kryptologicznej pokryte melańkami cyframi. W toku rozmów z kolegami dowiedziałem się, że sekcja była skoncentrowana wówczas szczególnie na jednym rodzaju systemu szyfrowego, prawie na ukończeniu, lecz do złamania którego jeszcze brakowało jakiegoś jednego elementu, który wymykał się komputerom mózgow naszych matematyków i według opinii dowódcy kompanii do odczytania szyfrogramów było jeszcze daleko. Trudno mi tu jako laikowi w tej dziedzinie zabierać głos o metodach analizy kryptologicznej, czy o konstrukcji szyfru. Wnioskuje jednak, że musiał to być szyfr "mocny" a więc i wiadomości przekazywane nim ważne. Podobno były nawet podwójnie szyfrowane, a podstawą szyfru, czy klucz zmieniane co cztery godziny. Wszystko wskazywało na to, że mógł to być szyfr obrony przeciwlotniczej Niemiec, czy może tylko Berlina. Pomieszczenie sekcji kryptologicznej w budynku dowództwa kompanii nie zrobiło na mnie wrażeń

nia jakiegoś "czarnego gabinetu", tyle tylko, że było odpowiednio strzeżone. Stoły wigilijne zestawiono na ogólnej sali, w której normalnie odszyfrowywano telegramy. Do wieczery zasiadli wszyscy wolni od służby żołnierze kompanii. Dowódca przedtem obszedł z opłatkiem pełniących służbę i złożył im życzenia. Przy stole nastrój był początkowo podniosły, tradycyjny i pełen wspomnień. Po klęskach września i Francji ciągle jeszcze wyczuwało się niewypowiedzianą chęć posiadania i odwet jakiegoś sukcesu poważniejszego po naszej stronie, który byłby punktem zwrotnym na drodze do zwycięstwa. Byłem pod wrażeniem, że musi to nastąpić w ten wieczór wigilijny. Pod nastrojem chwili wyczuwałem, że zagadkowe cyfry niemieckich telegramów kryją wiadomości, które odpowiednio wykorzystane odwrócą losy wojny na naszą korzyść. Pod koniec wieczery część uczestników wyniosła się "na kominki" po prywatnych domach w Boxmoor, reszta zaś w zwiększonym tempie, na skutek wspomnień, i tęsknoty za Krajem i rodziną, wypróżniała butelki racjonowanej whisky.

Tej nocy nie miałem wrażeń do Londynu, przygotowano mi więc łóżko na miejscu kryptologów. Ale gdy poszedłem zobaczyć gdzie się ono znajduje znalazłem na nim jednego z najmłodszych i najzdolniejszych kryptologów, magistra filozofii-matematyka, podporucznika czasu wojny, który jak się mówiło językiem felietonów Wiecha leżał, widocznie nie przyzwyczajony do mocniejszych trunków, "zalanym w kijek i sponiewieranym przez ankołol". Przypomniałem sobie, że przecież to on miał powierzony problem i zadanie wykończenia szyfru. Wszelkie moje nadzieje podświadomie związane z tym wieczorem wigilijnym ze względu na opłakany stan głównego aktora - prysły. Po sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że go żadna praca w tym czasie nie obowiązywała. Cóż było zrobić? Wróciłem na ogólną salę, aby w towarzystwie przyjaciół i kolegów otworzyć następną butelczynę z zamiarem spędzenia czasu, jak się da. Okazało się, że każdy miał coś ciekawego do opowiedzenia. Kryptolodzy opowiadali o swych przygodach w drodze do Anglii. Przed oczami przesuwały się obrazy z ich pobytu pod okupacją niemiecką, w strefie nieokupowanej we Francji. Przejście Pireneji, gdy wezwani przez generała Sikorskiego, uciekali z Francji. Zdrada przewodników w Hiszpanii. Więzienia... Właśnie słuchałem, jak to ostatnie odkryto w batalionie nowy talent kryptologiczny w osobie oficera żywnościowego z korpusu intendentów, gdy w drzwiach wewnętrznych ukazała się... zjawą. Był to kryptolog z mego łóżka. Poblady, z okularami na jednym uchu, z rozwichrzonymi włosami, w piżamie i w rozpiętej kurtce "battle - dreszu" na niej - "Proszę o klucz od sejfu"- wyjął w kierunku "wielkiego maga". Rozmowy ucichły. Kierownik sekcji podał mu klucze bez słowa. Młody kryptolog, prowadzony oczami obecnych wyjął z żelaznej szafy wielki zwój papieru, rozłożył go na bocznym stole i wpisał w środek arkusza, w jedną jedyną białą niewypełnioną kratkę, jakąś cyfrę. - "Szyfr gotów, melduję poskusnie" - powiedział cicho i... po chwili jakby zawstydzony widokiem wlepionych w niego oczu... "sorry!". Kierownik sekcji i inni kryptolodzy podbiegli do stołu, spojrzeli na arkusz, "wielki mag" zrobił jakąś notatkę, czy przeliczenie... "Tak" - powiedział - "można zaczynać!" Skinął głową w kierunku dowódcy kompanii***) a ten przywołał szefa kompanii***). "Alarm sekcji deszyfrantów! Obsada na pierwsze i trzecie stanowisko teleprinterów!" Sala szybko się opróżniła. Rozstawiano stoły pod szyfrogramy. Szef wysyłał gońców po kwaterach, aby ściągnąć deszyfrantów i maszynistki, podczas gdy dowódca kompanii utajnionym telefonem "zielonym" zawiadamił "dwójkę" w Londynie, a ta z kolei odpowiednią komórkę brytyjską.

Rano, kiedy odjeżdżałem samochodem do Londynu, telegramy niemieckiej obrony przeciwlotniczej już w jawnej formie wyprzedzały mnie kałblem nieprzerwaną strugą.

A kiedy w trzeci dzień Świąt odbył się wielki nalot na Berlin, w którym obok RAFu brały również udział polskie bombowce z myśliwską osłoną, serce mi rosło, że zaczęły się spełniać nasze niewypowiedziane wigilijne życzenia o początku sukcesów przy naszym współudziale i o... odwiecie. Później wprawdzie dowiedziałem się, że pierwsza seria odczytanych telegramów odnosiła się do innego miasta, a nie do Berlina... telegramy te rozpaczliwie wzywały pomocy podczas, gdy bomby kładły się jak dywany, niszcząc całkowicie miasto.... jednak w moim ówczesnym przekonaniu "złamany" polskimi mózгами szyfr, dopomógł Aliantom na dalszej drodze do zwycięstwa.

Na zakończenie można dodać, z tego taki wniosek, że mózg ludzki jest niezastąpionym komputerem, bo gdy trzeba nie zawodzi i pracuje wydajnie, nawet wtedy, gdy ciało w czasie chwilowego zamroczenia odpoczywa, może tylko nie tak szybki jak komputer.

*) Kpt piech. Dr Stanisław SZACHNO zmarł w Londynie 26 marca 1973 r. lat 73.

**) Kpt/mjr/łącz. Kazimierz ZIELIŃSKI zmarł tragicznie w Londynie 5 listopada 1979 r.

***) Sierż. Wojciech GUCWA, lat 50, zmarł 17 października 1955 pochowany na cmentarzu Finchley.



Tadeusz Lisicki

S E S Z E L E
(Seychelles Islands)

Nagle spod skrzydła samolotu, na błękitnie oceanu zobaczyłem jakby sznur pereł rozciągniętych daleko poza horyzont. To tropikalny archipelag - wyspy Seszele - leżące ponad dwa tysiące kilometrów na wschód od Nairi, stolicy Kenii, skąd wystartowaliśmy przed trzema godzinami.

Większość lotu, to na bardzo dużej wysokości nad Oceanem Indyjskim równoległe do równika, ale już na południowej półkuli. Równik przekroczyliśmy jeszcze w Kenii. Samolot przed lądowaniem zatoczył szerokie koło, teraz mogłem się dokładnie przyjrzeć największej wyspie noszącej nazwę - Mahe. To był cel mojej podróży. Wyglądała ona jakby ktoś wrzucił Giewont na środek błękitno-szmaragdowego morza, otoczył go wstęgą biało-złotych plaż i obwiesił tropikalną zielenią.

Kiedyś wyspy Oceanu Indyjskiego oczarowały Conrada Korzeniowskiego i aby je opisać, trzeba by było mieć jego talent - jego pióro; ja chciałbym się tylko podzielić moimi wrażeniami o miejscowych ludziach i przyrodzie.

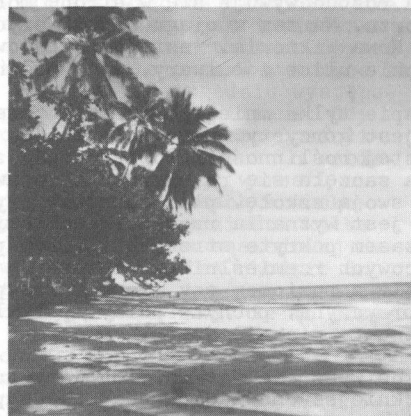
By móc bliżej poznać ludzi, najlepiej jest usiąść na tarasie przy stoliku w barze "pod Piratem" przy głównej ulicy jedyne miasta, a właściwie miasteczka na całym archipelagu - Wiktorii. W niedzielę późnym popołudniem, gdy słońce chyli się ku zachodowi a od morza wieje przyjemny monsun, prawie cała ludność przechadza się od portu do głównego skweru. Po strojach można łatwo odróżnić nielicznych turystów od mieszkańców Mahe. Tubylcy mają skórę we wszystkich możliwych odcieniach - od prawie białej do czarnej jak sadza, przy rysach twarzy, począwszy od europejskich, poprzez malajskie, arabskie, chińskie, hinduskie, na typowo murzyńskich skończywszy. Nieraz stanowią mieszaninę tych wszystkich ras. I wszędzie widzę dzieci - dużo, dużo dzieci, wszystkie bardzo czyste i schludnie ubrane w sukienkach, czy ubrankach o jak najjaśniejszych kolorach. Rzucił mi się w oczy, że w niejednej rodzinie - rodzeństwo nie jest do siebie podobne. Na przykład prawie biała dziewczynka może mieć dwu braci: jeden czarny a drugi o wybitnie malajskich rysach. Napewno na Seszelach od dawna nie ma żadnych przesądów rasowych.

Wszyscy są grzeczni i uśmiechnięci. - Uśmiech to jedna z cech charakterystycznych Seszelczyków. Wyglądają na zadowolonych z życia. Klimat mają najlepszy na świecie. Roczna temperatura prawie bez wahań - podczas dnia dochodzi do trzydziestu stopni, ale nigdy, nawet w nocy, nie spada poniżej dwudziestu pięciu stopni. Deszcze są prawdziwie tropikalne, ciepłe, ulewne, ale trwają najwyżej dwadzieścia minut i poważnie padają w nocy. Morze zawsze jest przyjemne, ciepłe i łąjące.

Tubylcy rozmawiają ze sobą po kreolsku, jest to osiemnastowieczny język francuski z dużą przymieszką słów murzyńskich, chińskich i innych. Jest on nawet dla dzisiejszego Francuza nie bardzo zrozumiały.

Czas, jak pewnie na większości tropikalnych wysp, płynie jakoś inaczej - leniwie, rano jest wschód słońca, wieczorem zachód, a po między nimi cały dzień już bez podziału na godziny. Bardzo rzadko ktoś z mieszkańców posiada zegarek, chyba, że jest urzędnikiem, lub wymaga tego rodzaj jego pracy, bo i po co. Nikomu nigdy się nie spieszy, w południe można słyszeć "dobry wieczór", a wieczorem "dzień dobry". Jedyny na wyspach zegar bijący znajduje się na środku głównego skweru i wybija zawsze każdą godzinę dwukrotnie. Pewnie pierwszy raz po to, by obudzić z drzemki, a drugi raz po upływie minuty, czy dwu - po to, by

można było policzyć ilość uderzeń. Nikt właściwie nie wie dlaczego zegar bije dwa razy, istnieją dwie hipotezy. Jedna, że po przywiezieniu go - miejscowy zegarmistrz wadliwie zegar złożył, a ponieważ wszyscy uznali wadę tę za pożyteczną i raczej przyjemną, nigdy już nie została naprawiona. Druga hipoteza twierdzi po prostu, że kiedyś Szwajcarzy, bo zegar jest szwajcarski, robili tego rodzaju zegary dla swoich wsi i można je do dziś dnia znaleźć w niektórych odległych wioskach szwajcarskich.



Malowniczy widok
na Ocean Indyjski

Sama okolica - Wiktorii - to także właściwie małe miasteczko, które nie bardzo wiadomo, gdzie się zaczyna i gdzie się kończy. Ktoś mi powiedział, że jedynym sposobem określenia jego granic jest zaobserwowanie w jakich miejscach kobiety idące na targ wkładają buty, bo na wsi chodzi się boso.

Największy targ odbywa się w soboty na placu targowym. Jest to nie-duża przestrzeń otoczona niewysokim murkiem z olbrzymim drzewem mango w tym samym miejscu i stara, dziś już nieużywana studnia. Już od samego rana pełno tam było ludzi, sprzedający i kupujący pomieszani razem w jedną barwną masę, przez którą trudno się przecisnąć. Na jednym z krańców placu widać stoły zarzucone masą najróżnorodniejszych warzyw i owoców, jak banany, ananasy, mango i mnóstwo innych. Na drugim końcu można dostać świeże ryby z ostatnich połowów - wszystko niesłychanie tanie w porównaniu do cen europejskich.

Niedaleko targowiska wznosi się katedra w stylu neogotyckim górując nad miastem, które posiada tylko kilka murowanych jednopiętrowych domków. Nawet siedziba gubernatora Seszele jest drewnianym jednopiętrowym domem z dużym balkonem i kolumnami i malutkim pomnikiem królowej Wiktorii na froncie.

Za katedrą pną się w górę wąskie, pokręcone uliczki z drewnianymi domkami, gdzieś tam tylko widać jakiś sklep, w którym sprzedają dosłownie wszystko, co tylko mieszkańcom jest potrzebne, przeważnie obsługują je cała rodzina. Uderza nadzwyczajną grzeczność, nawet takiego przygodnego klienta, jakim ja byłem, gdy wstąpiłem do jednego z nich, by kupić jakiś drobiazg.

Seszele były aż do Traktatu Wiedeńskiego, kolonią francuską. Pod panowanie brytyjskie przeszły dopiero w tysiąc osiemset cztertnastym roku.

Pozostał język francuski, uprzejmość i wyszukane maniery. Stąd też być może, przynajmniej tak mi się wydawało, ludzie chodzą tu trochę inaczej, jakoś lekko, jakby tańczyli menueta.

Nad miastem wznosi się wysoka góra ponad tysiąc metrów, nazywa się Trois Frères - Trzej Bracia, jej to właśnie szczyt przypominał mi Giewont, także granitowy tylko, że trochę więcej czerwonawy, także z krzyżkiem na szczycie. U podnóża tej góry rozciągają się gaje palm kokosowych, których orzechy stanowią największy eksport archipelagu. Palmy te pokrywają większość powierzchni całej wyspy Mahe, na której żyje około czterdziestu pięciu tysięcy ludzi zajmujących się głównie ich uprawą, a także rybołówstwem. Miasto Wiktorja rozbudowuje się w stronę morza, a właściwie na ziemiach wydartych morzu. Ma tam w ciągu najbliższych lat wyrosnąć nowe miasto o nazwie Nowa Wiktorja. Jest już w budowie stadion sportowy, wytyczone są szerokie ulice i bulwary, stoi budynek szkolny i siedziba Klubu Morskiego.

Poza miastem Wiktorja są na wyspie tylko mniejsze wioski, przeważnie nad morzem, gdyż środek wyspy jest górzysty. Wioski te trudno z daleka zauważyć, ponieważ toną w gęstej roślinności. Dopiero, gdy zbliżyłem się do pierwszych domków droga zaczęła się rozszerzać i pojawili się na niej ludzie. Każda wioska ma swoją szkołę, plac do zabaw czy sportów i kościół. Prawie cała ludność jest wyznania rzymsko-katolickiego. Małe, drewniane, przewiewne domki, czasem pokryte strzechą z liści palmowych, budowane pewnie przez miejscowych rzemieślników, zawsze są trochę pochylone, w całkowitej niezgodzie z poziomem czy pionem. Przypuszczam, że sama przyroda jest tego przyczyną, pochyłe palmy, półkuliste plaże, góry o fantastycznych kształtach - nic nie jest tu proste - jedynie daleki horyzont morski.

Mieszkańcy tutejsi nie mają jakoś wycucia piękna, ich domy budowane są najczęściej tyłem do najpiękniejszych widoków. Na moje zapytanie, czy uważają swoją wyspę za piękną, otrzymałem od miejscowego nauczyciela odpowiedź: pewnie tak, ale trudno to ocenić, ponieważ nie mam porównania, prawie nikt z nas nie wyjeżdżał z Seszeliów.

Na piaszczystym wybrzeżu, leżą małe, czarne łodzie rybackie. Wyglądają, jakby mały chłopiec niezdarne je wystrugał, ale są niesłychanie zwrotne i prawie niemożliwe do zatopienia.

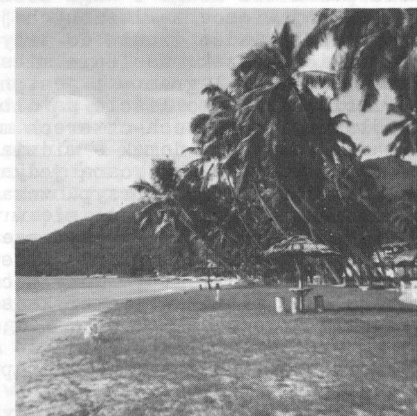
Ryby, to podstawowe pożywienie ludności. Jest ich mnóstwo. Wystarczy się przejść po plaży i popatrzeć na morze, aby zobaczyć co chwila wyskakujące z wody, latające ryby, dochodzące do pół metra długości. Skaczą po dobre kilka metrów. Całe ławice małych rybek zwabiają różnorodne ptactwo wodne. Ptaki krążą pojedynczo, albo w małych stadach i od czasu do czasu spadają z wielką szybkością, prawie pionowo w dół, by po krótkim nurkowaniu znów zbić się z rybą w dziobie.

Morze jest dziwnie przezroczyste, ciepłe i bezpieczne w zatokach oddzielonych od otwartego morza rafami koralowymi, przez które rekiny nie mogą przepłynąć. Co drugi dzień z przystani hotelowej odpływa płaskodenna łódź ze szklanym dnem, przez które można podziwiać koralowe, podwodne ogrody, pełne tropikalnych ryb we wszystkich kolorach tęczy i przeróżne wodorosty. Widoczność dna jest tak dobra, że w słoneczny dzień można je fotografować nawet na głębokości dochodzącej do kilku metrów. Łódź zabiera dwunastu pasażerów, przejazdka trwa dwie godziny. W mojej pamięci specjalnie pozostał koloryt samego morza - miejscami ciemno niebieski, miejscami szmaragdowy, zależnie od koloru nieba i położenia słońca, a czasem podczas wschodu lub zachodu słońca mieniący się wszystkimi odcieniami czerwieni. Od strony morza najlepiej też występuje barwność samej wyspy, białozłote plaże obwieszane jakby ciemno zielonymi koronkami palm, a za nimi zielone zbocza w czerwonymi plamami kwitnących tak zwanych "płomieni lasu" - flame de foret, a nad nimi strzelają w niebo granitowe szczyty. Wszystkie kolory są bardzo jaskrawe gauguin'owskie.

Palmy kolorowe, obwieszane orzechami kokosowymi, rosną wszędzie. Od czasu do czasu, przeważnie nad ranem, słychać jak ogromne orzechy spadają z loskotem na ziemię. Miejscowi ludzie mówią, że widzą, bo spadając jeszcze nigdy nikogo nie zabiły, ani nawet nie zraniły.

Wieczorem, siedzę na tarasie hotelowym, gra orkiestra lub pianinista śpiewa kreolskie piosenki przy akompaniamencie gitary. Taras dotyka morza, osłonięty jest palmami, wieczory ciepłe, a na niebie wisi księżyc i iskrzą się gwiazdy - tylko nie te, które widzimy na północy - dominuje tutaj Krzyż Południa. Orkiestra miejscowa, podobna raczej do ludowej kapeli, siedzi kołem, twarzami do środka, dwu skrzyppków, dziewiętnastowieczna harmonia, dwa afrykańskie bębny i śpiewaczka Sidonie. Tak muzyka, jak i piosenki śpiewane po kreolsku, mają w sobie coś z piosenek francuskich sprzed paru wieków, z przymieszką afrykańską. W czasie przerw w muzyce słychać głośnie cykady.

Parę razy w tygodniu występuje śpiewak Despilly Willams. Gdy poprosiliśmy go do naszego stolika - opowiedział nam dużo o sobie. Przystojny, średniego wzrostu o ciemnej skórze i rysach arabsko-murzyńskich, ma dwadzieścia kilka lat, urodził się na sąsiedniej małej wyspie, gdzie też chodził do szkoły. Śpiewać i grać na gitarze nauczył się sam. Mówi, że to przyszło mu bez trudności, śpiewał od dziecka, jak tylko pamięta po kreolsku i tylko kreolskie piosenki. Jedyny raz opuścił Mahe, gdy zdobył pierwsze miejsce w konkursie piosenek Seszelskich i został wysłany na międzynarodowy konkurs na Maurycius (Mauritius), gdzie znów otrzymał pierwszą nagrodę. Głos ma miły, pełny i dźwięczny. Śpiewa tylko własne kompozycje, oparte na motywach kreolskich z własnymi słowami.



Zaciszna Zatoka

Archipelag Seszele składa się z dziewięćdziesięciu dwu wysp, ale tylko połowa z nich jest zamieszkała, niektóre to tylko rafa koralowa, półkolista z jedną, czy dwoma palmami. Inne, jak na przykład druga co do wielkości po Mahe, Praslin posiada przeszło pięciotysięczną ludność. Na tej wyspie rosną jedne z najdziwniejszych drzew na świecie, palmy zwane Coco-de-mer, czyli kokosy morskie. By je obejrzeć popłynąłem tam kutrem rybackim na całonocną wycieczkę. Praslin leży około trzydziestu kilometrów na północny wschód od Mahe. Jest to nieduża wyspa tkwiąca jeszcze w dziewiętnastym wieku, bez telefonów i bez elektryczności. Ludność zajmuje się głównie rybołówstwem, uprawą warzyw, wanilii, cynamonu i orzechów kokosowych. Gdy łódź rybacka wraca z udanego połowu, to oznajmia swój powrót przez głośnie trąbienie na dużej muszli i sprządaż odbywa się natychmiast po przybyciu na brzeg.

Wyspa Praslin poprzednio nazywała się Isle des Palmes - wyspa palmowa - obecną nazwę otrzymała w osiemnastym wieku od kolonistów francuskich - poprzędnio, jak inne wyspy archipelagu nie była ona wcale zamieszkała. Żyli na tej wyspie krokodyły, olbrzymie żółwie i ptaki.

Środek wyspy jest górzysty, przedzielony wąwozem, który nazywa się Majowym, niektórzy nazywają go rajem. Pojechalismy tam z przystani je

dynym na wyspie transportem publicznym, tak zwanym kamione. Jest to przerobiony samochód ciężarowy z drewnianymi ławkami, dachem i otwartymi bokami. Na nasz wyjazd udekorowano girlandami z kolorowych, pachnących kwiatów.

Przejazd drogą pnącą się serpentynami w górę trwał niespełna pół godziny. Sam wóz jest obecnie rezerwatem, w którym rosną te niezwykle palmy Coco-de-mer. Zwiedzenie go to marsz dwugodzinny z przewodnikiem. Coco-de-mer jest bardzo wysokim drzewem palmowym o czystym, prostym pniu, na czubku którego rosną liście podobne do wachlarza. Owoce są bardzo duże, zawierające nasiona o niezwykle, sugestywnym kształcie. Wysokość tych palm dochodzi do czterdziestu metrów, rosną parami lub w małych grupach. Męska palma jest o pięć do dziesięciu metrów wyższa od żeńskiej. Najstarsze z nich mają ponad osiemset lat, rosną bardzo wolno, owocować zaczynają dopiero po trzydziestu - trzydziestu pięciu latach, a dojrzewanie owocu trwa osiem lat. Owoc wygląda jak serce, jest prawie pół metra długi i waga dochodzi do trzydziestu kilogramów. Czasem w jednej wiązce zawieszonych jest kilka lub nawet kilkanaście owoców o łącznej wadze dwustu do trzystu kilogramów, a na drzewie może być kilka takich wiązek. Nasienie mieszczące się w środku owocu waży do dwudziestu pięciu kilogramów i jest największym i najcięższym nasieniem na świecie. Tak samo liście są olbrzymie, dochodzące do dziesięciu metrów długości, a trzech-czterech metrów szerokości. Ze stu takich liści buduje się cały domek - widziałem ich kilka rozrzuconych po wyspie.

Palmy Coco-de-mer rosną jedynie na wyspie Praslin i sąsiadującej z nią Curieuse. Uczni przypuszczają, że Coco-de-mer zostały uwięzione na tych wyspach, gdy zapadł się w ocean subkontynent, którego szczyty gór sterczą teraz jako wyspy Seszele. Palmy te były całkowicie nieznane aż do siedemnastego wieku. Przedtem od czasu do czasu żeglarze znajdowali puste łuski, które dały początek różnym baśniom i legendom. Chyba tylko cedr libański i amerykańska sekwoja mogą się równać swoją niezwykłością z Coco-de-mer.

Na wyspie Praslin żyje także czarna papuga, która ze względu na swój kolor jest unikatem wśród papug - jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie żyje ona na wolności. W czasie wędrowki po wozie Majowym usłyszeliśmy jej głos, gdyż jak wyjaśnił przewodnik, rzadko kiedy ukazuje się ona przed wieczorem.

Przewodnik, żegnając nas, zapraszał "proszę się nie zrażać i jeszcze raz przyjechać, a wówczas z pewnością będzie można zobaczyć czarną papugę". Po powrocie do hotelu jeden ze znajomych powiedział mi - "a czy ty wiesz, że ta czarna papuga nie jest wcale czarna, ale tylko ciemno-szara". Stąd jeszcze jedna nauka, że nie zawsze i nie wszędzie nazwa odpowiada prawdzie.

Z mojego pobytu na tych pełnych czaru wyspach Seszeles zostanie na zawsze w mojej pamięci następujący obrazek: na piasku przy brzegu morza siedzi w słońcu malutka dziewczynka bawiąc się kamyczkami, a na twarzy jej widzę uśmiech prawdziwego zadowolenia, uśmiech mówiący, że nic więcej jej do szczęścia nie potrzeba.

Andrzej Grabia

GROB JOANNY FIGUEROA

Zawsze proszę moich pasażerów, żeby wybierając się w podróż rezerwowali miejsca na statkach i samolotach na czas, a nie w ostatniej chwili. tłumaczę, że miejsca te są zawsze ograniczone i w ostatniej chwili nie można ich znaleźć, pomimo największych nawet wysiłków mojej agencji. Ale jakoś wydawało mi się, że to co innym radzę nie musi koniecznie i mnie samego obowiązywać. No i naturalnie poniosłem konsekwencje. Kiedy z początkiem listopada zatelefonowałem do Aerolineas Argentinas dla zarezerwowania dla siebie miejsca do Salty na następny dzień, okazało się, że samolot był już pełny i mowy nie było o dostaniu się ani na ten, ani na trzy następne. Złościłem się chyba tak samo jak złości się w takich wypadkach każdy z moich klientów, tylko... poza własną, nie miałem żadnej agencji, do której mógłbym mieć o to niepowodzenie poważne pretensje.

Do Salty musiałem jednak się dostać. Powierzono nam zorganizowanie tam międzynarodowego kongresu lekarskiego i trzeba było wszystko przygotować. W końcu udało mi się zdobyć miejsce w samolocie do Tucuman a stamtąd postanowiłem jechać dalej autobusem. Może nawet i dobrze na tym wyszedłem, bo wylądowawszy w Tucuman, mieście ogrodów, jak popularnie nazywa się to rzeczywiście pełne parków i kwiatów miasto, wsiadłem w autobus i pojechałem dalej bardzo malowniczą drogą na północ, wzdłuż Kordyliarów, do Salty. Autobus był bardzo wygodny, zaopatrzony w bar, w którym urzędowała przystojna blondynka w zgrabnym mundurze kompanii, roznosząca co chwilę pasażerom chłodzące napoje, kanapki i cukierki. Po pięciu godzinach jazdy znaleźliśmy się w Salcie.

Od razu odczułem zupełnie specjalny nastrój tego miasta, które znałem zresztą z kilku poprzednich moich bytności. Nikt się tu nie spieszy, nikt się nie denerwuje, jest błogo i przyjemnie. Doskonale się tu odpoczywa. Stacja autobusowa przylega do parku San Martine'a, w parku jest sztuczne jezioro, ogród Inkasów, kilka cukierni i przyjemny zapach drzew eukaliptusowych. Wsiadłem w taksówkę i kazałem wieźć się do hotelu. Przejadaliśmy właśnie przez most, kiedy zwróciła moją uwagę leżąca tuż nad rzeką kamienna płyta z metalowym krzyżem, zarzucona ogromną ilością wieńców i wiązanek kwiatów, poobstawiana zapalonymi świecami.

- Co to jest? - zapytałem nachylając się do szofera taksówki. Kierowca odwrócił się, przypatrzył mi się uważnie. Nie wiem, czy naturalna salteńska flegma nie pozwoliła mu od razu odpowiedzieć na moje pytanie, czy też zdziwił się, że wogóle można czegoś podobnego nie widzieć.

- Es la tumba de Juana Figueroa - powiedział w końcu i odwrócił się koncentrując swoją uwagę na drodze. Zaryzykowałem jeszcze pytanie, kim była Joanna Figueroa?, ale uzyskałem suchą, może trochę niecierpliwą odpowiedź:

- Una santa. Tu została zamordowana i tu czyni cuda. Więcej nie zdołałem się dowiedzieć.

Wjeżdżaliśmy już do miasta i jechaliśmy ulicami wśród niskich kolonialnych przeważnie dwukolorowych domków zakończonych charakterystyczną attyką, o oknach chronionych wspianymi, ozdobnymi, hiszpańskimi kratami. Z daleka widać było górującą nad miastem różową wieżę starego barokowego kościoła Franciszkanów, która przy zachodzącym słońcu miała kolor raczej pomarańczowy. Zajechałem do hotelu Salta położonego w centrum miasta, również utrzymanego w stylu kolonialnym. Z okien mojego pokoju na czwartym piętrze rozciągał się widok na miasto, a ponad dachami widać było na horyzoncie otaczające je góry. Słońce oświetlało

jeszcze jasne domki Salty, ale okoliczne góry były już pogrążone w cieniu. Głęboki głos dzwonu z wieży klasztoru Franciszkanów wzywał na nieszpory.

Było już ciemno kiedy odświeżony po podróży wyszedłem na miasto. Po dość gorącym dniu panował teraz na ulicach przyjemny chłód. Ulica Buenos Aires wypełniła się wolno spacerującymi mieszkańcami - obraz tak typowy dla każdego prowincjonalnego miasta. Wszyscy się znali, kłaniali się sobie wzajemnie, nawiązywali ze sobą rozmowy, przysiadali przy stojących na ulicach stolikach kawiarni. Z balkonu restauracji hotelu Salta dochodziły dyskretne dźwięki fortepianu. Zaszedłem do reprezentującej nas w Salcie agencji i od razu znalazłem się w serdecznym nastroju stworzonym przez dwóch jej współpracowników, byłych wojskowych argentyńskich. Omówiliśmy wszystkie sprawy kongresu, zostałem tradycyjnym zwyczajem przyjęty wśród agentów, zaproszony na dzień następny na pokazową wycieczkę w góry, kiedy przypominałem sobie widziany po drodze grobowiec.

- Kim była Joanna Figureoa? - zapytałem. Major de la Torre popa - trzy ma mnie zaskoczony, po czym roześmiał się głośno.

- Nie mów, że to chcesz włączyć do programu zwiedzania Salty przez twoich klientów. Dostaniesz po głowie od szanujących się matron i nadwierzysz prestiż twojej agencji. W Salcie trzeba wybrać pomiędzy sztywną, konserwatywną tradycją a tą stroną naszego życia, o której napewno w salonach się nie mówi. Nie należy mieszać tych dwóch tak różnych od siebie światów. - Jak to zawsze bywa w agencji rozmowę naszą przerwała seria telefonów, nadeszli klienci zapisujący się na wycieczki na dzień następny i nie wróciliśmy już do tego, coraz bardziej mię intrygującego tematu.

Następnego dnia o siódmej rano wyruszyliśmy na wycieczkę w góry. Agencja wybrała dla mnie całodzienną wyprawę do starej indiańskiej wioski Cachi, położonej u stóp góry o tej samej nazwie oznaczającej sól w języku quichua, pokrytej wiecznym śniegiem, trzeciego pod względem wysokości szczytu Andów, o wysokości ponad 6000 metrów. Pogoda była wspólna, widoczność doskonała. Droga prowadziła korytem rzeki, z której o tej porze roku został tylko mały strumyk, płynący szerokim i kamiennym łóżyskiem wśród wysokich ścian skalnych. Zwracały moją uwagę pojawiające się co pewien czas przy drodze krzyże. Od małych prymitywnych, zbitych z dwóch patyków krzyżyków, do okazałych kapliczek zaopatrzonych w tabliczki z napisami. Wbite wprost w ziemię, albo stojące na małych kopczykach z ziemi lub kamieni, wszystkie ozdobione wianuszkami, albo małym wianuszkami ze sztucznych lub żywych kwiatów. Kierowca samochodu wyjaśnił mi, że są to miejsca, w których ktoś stracił życie w wypadku, lub zmarł nagle w drodze. W Dzień Zaduszny rodziny zmarłych odwiedzają te miejsca i przynoszą kwiaty. Jest to stary obrząd zwany "kwiecieniem krzyży". Znowu przyszedł mi na myśl grób Joanny. Ten był całkowicie pokryty stosami kwiatów. Ileż bliskich o niej pamięta.... Zapytałem o nią szofer.

- A, to bardzo dawna historia - odpowiedział. Mój dziadek twierdzi, że ją znał. Mówił, że była bardzo piękna - Ale szofer nie pamiętał żadnych szczegółów. Wiedział tylko, że jest jakaś samba nazwana jej imieniem, którą czasem śpiewają na wsiach na różnych "fiestach" ludowe zespoły.

Droga prowadziła teraz serpentynami w górę, wyjeżdżaliśmy po tak zwanej Cuesta del Obispo. Im wyżej wznosiliśmy się w górę, tym wspólniejszy widok rozciągał się pod nami. Skały mieniły się w ostrych słońcu jaskrawymi kolorami. W zależności od zawartości minerałów miały kolor czerwony, rudny, zielony, niebieski i szary. W dole pod nami widać się czerwona wstęga dopiero co przejechanej drogi. Na wysokości 3700 metrów osiągnęliśmy szczyt. Przed nami ukazała się fioletowa góra.

To właśnie jej dziwny kolor dał nazwę całej drodze prowadzącej do "Biskupiej Góry". W oddali na horyzoncie ukazał się ośnieżony szczyt Cachi. Jechaliśmy teraz szybko przez kamieniste pustkowiec usiane wysokimi prostymi kaktusami, wzdłuż starego traktu Inkasów. Może właśnie tą szesnastokilometrową prostą jak struna drogą biegli gońcy króla Inków na południe, do owego tajemniczego miasta, wspanialszego jeszcze od niedawno znalezionej stolicy Macchu Picchu, czekającego jeszcze na swojego odkrywcę w wysokich górach niedaleko Salty. O mieście tym dużo w Salcie słyszałem. Podobno są ludzie, którzy tam byli, ale nie chcą wskazać do niego drogi. Wiedzą o nim potomkowie Indian z okolic Salty, ale nic nie można z nich wydobyć. Wydają się być ogarnięci jakimś zabobonnym strachem.

Cachi jest małą indiańską wioską, leżącą w żyznej dolinie, pełnej zieleni, która niespodziewanie pojawia się wśród nagich skał i wysokich szczytów górskich, na wysokości 2300 metrów. Ma idealny klimat i jemu, jak również swemu malowniczoemu położeniu zawdzięcza swe powodzenie, które przejawia się w jej rozwoju i pewnej ilości nowych domów, które psują prymitywny charakter tej osady. Ale stare Cachi jest pełne uroku. Strome, wąskie uliczki, wijące się wśród na wpół zapadłych w ziemię domków, otaczają siedemnastowieczny kościółek, o stropie i podłodze wyłożonych poratowymi belkami z kaktusowego drzewa. Tło stanowią bajecznie kolorowe góry, z królującym nad nimi wiecznym białym szczytem.

W drodze powrotnej niebo nagle zachmurzyło się i nerwowe zygżaki błyskawic zaczęły przecinać raz po raz widnokrąg. Ściany skalne powtarzały w nieskończoność echo grzmotów. Góra Biskupia okryła się czarną peleryną chmury. Zjeżdżaliśmy szybko w dół serpentynami, ale kiedy dojechaliśmy do Salty, groza burzy minęła i znów zapanował miły wieczorny chłód. Zaszedłem do agencji, żeby podziękować za wycieczkę i tu zastałem siedzącego w fotelu wysokiego i szczupłego starszego pana, o starannie zaczesanych, siwych włosach. Wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat, okazało się potem, że w mojej ocenie odjąłem mu ponad dekadę. Biały goździk w klapie, perła w ciemnym krawacie i chustka niedbale wsunięta w kieszonkę doskonale skrojonej marynarki, pozwalały od razu domyślić się, że należy do grupy ludzi, których niestety coraz mniej się spotyka. Zostałem mu przedstawiony i w ten sposób poznałem emerytowanego doktora Julió Mendizoroz'a, chodzącą kronikę starej Salty. Dowiedział się, że właśnie wracałem z wycieczki w góry i rozmowa zeszyła na okolicę Salty oraz legendy o Inkasach. Czas mijał szybko i nadeszła pora zamknięcia agencji. Doktor wstał i zaprosił mnie do swego klubu, w którym spędzał prawie wszystkie wieczory.

Zajechaliśmy taksówką przed klub i od razu wchodząc do wnętrza miałem wrażenie, że cofam się o kilkadziesiąt lat wstecz, przynajmniej do epoki wczesnej młodości doktora. Wspaniałe salony z empirowymi meblami, o ścianach pokrytych boazerią, z których spoglądały na nas portrety zasłużonych członków klubu we frakach, czy galowych mundurach, ogromne puszyste dywany, po których przesuwali się bezszelestnie lokaje w liberii, bogato wyposażona biblioteka, trzydziestometrowa sala balowa z galerią dla orkiestry i wielkimi kryształowymi żyrandolami - nadawały klubowi charakter, którego nie powstydziliby się niejeden europejski pałac.

Usiedliśmy w jednym z salonów, pijąc dobre szkockie whisky, które - jak twierdził doktor - powinno stanowić najważniejszy składnik każdej recepty na długowieczność. Oczywiście nie ośmieliłbym się kwestionować tego sądu, mając przed sobą żywe jego potwierdzenie. Zastanawiałem się przez chwilę, czy po tym co mówił mi de la Torre, mogę bezpiecznie poruszyć sprawę Joanny, ale ośmielony miłym stosunkiem do mnie doktora, zaryzykowałem. Powiedziałem mu, że spotkałem się już z dwoma przeciwnymi opiniami o tej dziwnej postaci i chciałem wiedzieć, kim ona właści-

wie była? Doktor popatrzył na mnie rozbawionymi oczyma.

- Powiada Pan, że słyszał pan dwie wersje? Ja znam ich przynajmniej dwadzieścia. Widzi Pan, jak moja Salta, dumna i konwencjonalna, jak i Salta Joanny, położona nad rzeką, wśród małych rozpadających się domków i podejrzanym melin, przestały już właściwie istnieć. Z mojej pozostał ten właśnie klub, a z tamtej.... kilka nieciekawych kabaretów, gdzie dawny romantyzm przekształcił się w tandetny handel miłością. La Rusa Maria, która tam niepodzielnie królowała, jedna z największych może handlarek żywym towarem, umarła kilka lat temu, a nasz klub, jak pan widzi, też właściwie już świeci pustką. Dziwne losy związały te dwa różne od siebie światy. Ale wróćmy do samej Joanny.

Doktor przerwał na chwilę, potarł ręką czoło, jakby chcąc uporządkować wspomnienia, po czym ciągnął dalej:

- To było już ponad sześćdziesiąt lat temu, w roku 1905-tym. Joanna była bardzo piękna i o względy jej starała się nie bez powodzenia cała prawie młodzież nawiedzająca tamte dzielnice. Lubiała się bawić i miała bardzo szerokie serce. Legenda o niej głosi, że zakochała się i wyszła za mąż, postanowiwszy zerwać ze swoim dotychczasowym życiem. Zamieszkała ze swym mężem niedaleko rzeki i przekształciła się we wzorową żonę. Pewnego wieczoru, kiedy mąż jej jak zwykle po pracy wracał do domu, zobaczył z daleka w jasno oświetlonym oknie Joannę, jak ze swoim dawnym uwodzicielskim uśmiechem na twarzy, który tak dobrze znał, podała jakiemś młodemu, przystojnemu młodzieńcowi naczynie z mate. Opętany zazdrością wpadł do domu i porwał ze stołu nóż. Przerażona Joanna rzuciła się do ucieczki. Mąż dopadł ją jednak nad rzeką i w zaślepieniu zamordował. Niedługo potem przekonał się, że ów przystojny młodzieniec, którego widział przy oknie, był rodzonym bratem Joanny. Złamany i zroszczony dostał pomieszczenia zmysłów.

- Taka jest ogólnie przyjęta legenda, mówił doktor. Prawda jednak wygląda inaczej. Joanna faktycznie wyszła za mąż, postanowiwszy zmienić tryb życia. Ale niedługo natura wzięła nad nią górę i nie pozwoliła jej wytrwać w postanowieniu. Pewnego razu wracała późno do domu, kiedy nad rzeką spotkała męża. Ten w szaleńczym gniewie porwał leżący na ziemi złom żelaza i zabił żonę jednym uderzeniem w głowę. Taki był koniec Joanny. Ale sława jej przetrwała poza grób. Stała się bożyszczem dziewcząt jej świata, które do dziś dnia o niej pamiętają i w Dzień Zaduszny zarzucają jej płytę stosami kwiatów. Uważają ją za swoją patronkę. Modlą się do niej i twierdzą, że dzięki niej dostępują spełnienia swoich prośb. I właściwie niech pan tylko pomyśli, czy to nie jest logiczne i zrozumiałe. Przecież te dziewczęta są przeważnie tak bardzo samotne, żyją z dala od swoich domów, często wogóle ich już nie mają, albo i nigdy ich nie miały. Czyż nie potrzebują jakiegoś moralnego oparcia, jakiejś istoty, nawet nie z tego świata, która by je rozumiała, znała ich intymny język i której mogłyby się poskarżyć na swój los?

Siedząc już w samolocie w drodze powrotnej do Buenos Aires rozmyślałem nad sprawą Joanny. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że przemily doktor też ją musiał chyba dobrze znać. Mówił o niej z jakimś ciepłem i czułością w głosie. Bo musiał przecież istnieć jakiś pomost nad rzeką, łączący owe dwa światy, Saltę doktora z Saltą Joanny Figueroa.

Marian Zawilo

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA NA ŁOTWIE

(wspomnienie z pobytu w Obozie Internowanych w Libawie przed 42 laty)

Nadchodzą Święta Bożego Narodzenia 1939 roku. Święta bardzo smutne - na obcej ziemi, z dala od kraju i od najbliższych sercu, zaś w ciągłej trosce o ich losy. Chociaż nie mamy oficjalnych wiadomości o aresztowaniach, wiemy że tam pod okupacją sowiecką jest już coraz gorzej. Już wywożą naszych ludzi do Rosji. Wiemy, że wróży to tragiczną przyszłość zesłanych, lecz bezsilni oddajemy wszystko w modlitwach naszych pod opiekę Bożą.

Za zgodą Komendy Miasta i Komendy Obozu Święteczną Wigilię urządza dla nas miejscowa Polonia. Porządkujemy rejon obozowy. Polki, które pracują w obozie, wraz z kilkoma jeszcze z miasta, przygotowują wieczerzę wigilijną. W kuchni obozowej praca wre na całego - jedne smażą ryby inne pieką ciasta oraz tradycyjne potrawy. Co pewien czas dorożki konne dowożą coś z miasta. My zaś z naszej strony pomagamy jak możemy. Przed wieczorem wszystko gotowe. W budynku, gdzie znajduje się duża sala zastawiono stoły.

O godzinie piątej wieczorem jesteśmy wszyscy zebrani w sali, włącznie z obsadą Obozu. Nadchodzi Komendant Obozu, z nim Delegat Komendy Miasta w stopniu majora, z nim Ks. Biskup miasta Libawy w otoczeniu kilku osób cywilnych - Polaków i Polek. Po zdaniu raportu i powitaniu Ks. Biskupa wszyscy siadają do stołów. Są z nami i te Polki, które przygotowywały kolację.

Następuje składanie życzeń świątecznych. Komendant Obozu w swym przemówieniu podkreśla więzy przyjaźni, jakie łączyły Polskę i Łotwę od pierwszej wojny światowej. Więzy związane na polach walk o Niepodległość Polski i Łotwy. Wyraża nam współczucie oraz troskę o przyszłość mówiąc, że nie widać poprawy na najbliższą przyszłość, natomiast wszystko wskazuje na to, że będzie gorzej.

W odpowiedzi na życzenia Komendanta Obozu jeden z naszych żołnierzy, najstarszy wiekiem, składa w naszym imieniu podziękowanie Komendantowi za jego przyjazny stosunek do nas i ludzkie obchodzenie się z nami, oraz życzy, aby Łotwa uniknęła losu Polski.

Jeden z cywilnych Polaków podziękował w kilku słowach Komendantowi Obozu za umożliwienie urządzenia tego Święta, zwracając się zaś do nas powiedział: - "Cokolwiek się stanie, jakiegokolwiek nastąpią zmiany, byśmy nigdy nie zapomnieli, że jesteśmy Polakami i że Polska to kraj Święty dla każdego Polaka i Polki gdziekolwiek by się znajdowali". Mimo tego, że może nie raz było lepiej lub gorzej, byliśmy między swymi i we własnym kraju.

W dalszym ciągu uroczystości Ks. Biskup powiedział kilka słów pocieszenia i po krótkiej modlitwie i pobłogosławieniu potraw nastąpiła kolacja.

Na kolację postną zupą była - zupa owocowa, potem ryba smażona i w kilku innych odmianach. Wszyscy zajądają z apetytem, a specjalnie ryby, które są bardzo dobre. Widząc to Komendant Obozu zaczął się śmiać zadając pytanie - "dlaczego dzisiaj tak wszyscy z apetytem zajądają ryby? Widać z tego, że Polacy też lubią ryby...." "Dlaczego więc ostatnio były takie kłopoty i kłótnie właśnie o ryby, które kuchnia wydawała na posiłki?"

Odpowiedział na to jeden z naszych: "Zwyczajem polskim jest, że

na uczcie Wigilijnej wszystko jest smaczne, niczego się nie zostawia, zwłaszcza, że dzisiaj były wyjątkowo dobrze przygotowane. Zwracając się zaś wo Pań, które tak ofiarnie pracowały - dziękuje im za ich trudy i wysiłki.

Następnie dodaje, że i Komendantowi Obozu, jak zauważył, ryby dzisiaj też smakowały, a to zdaje się dlatego, że już dawno ryby nie jadł, my zaś - mówił dalej - i na rzadko i na gęsto, codziennie, no i nie tak smacznie przygotowane - nic więc dziwnego, że czasem grymasimy. Komendant roześmiał się i powiedział, że ma wrażenie, że wszystko ułoży się dobrze.

Podano ciasta i kawę i przy ogólnej rozmowie, w miłej atmosferze urodziny przeciągnęła się do dwóch godzin.

Po odjeździe gości na czele z Ks. Biskupem i przedstawicielami Komendy Miasta, pozostajemy - sami Polacy. Reszta wieczoru schodzi nam na rozmyślniach i rozmowach o najbliższych, o tych co pozostali tam w naszym kraju.

W "Wigili" brało udział około 120 żołnierzy polskich.

Święta minęły. Sytuacja nasza pozostała bez zmian.

MIECZYSLAW GOZDZIKOWSKI

C Ó R C E

Córko moja.

Wiem, że już jesteś

i od wielu dni

rozpoczęłaś życie.

Ty się uśmiechasz - jest ono dla ciebie niczem...

- Bądź szczęśliwa -

Oczęta Twoje niebieskie

patrzają na matkę karmiącą

i nic nie wiedzą,

że jesteś dla niej słońcem, treścią i pragnieniem życia.

- Ty też będziesz kiedyś matką -

Nie wiesz, że masz ojca,

może matka płacząc opowiada Ci o tem

- pewnie często to robi -

Matka płacze, a Ty uśmiechasz się sobie słodko...

- poznasz i miłość -

Potem całuje Cię mała pieśzcotko,

a wtedy razem obie płaczecie..., bo jakie będzie

życie, które przyjdzie, obie nie wiecie....

Płaczcie, to ulży, ale nie pomoże.

Chroń Was mocny Boże!

S.J. Dąbrowski komentuje:

Wiersz "Córce" napisał M. Goździkowski w obozie jenieckim po otrzymaniu wiadomości o urodzeniu się córki. Wiersz został opublikowany w obozowym dwutygodniku literackim "Za Drutami", w którego komitecie redakcyjnym członkiem był M. Goździkowski; w tymże czasopiśmie szła w odcinku jego powieść p.t. "48609".

Ppor. J. Bohatkiewicz - rzetelny kronikarz obozu - w swej książce: "Oflag IIB Arnswalde-Choszczno", Książka i Wiedza, Warszawa 1974. - zamieszczony wiersz "Córce" skomentował tymi słowami: "Charakterystyczny dla ludzi oderwanych brutalnie od normalnego życia i rodzin jest moony w swym ojcowskim uczuciu wiersz Mieczysława Goździkowskiego...."

